

Makgosia  
contra  
Makgosia



Ewa Nowacka

Małgosia  
contra  
Małgosia



Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1975, 1999

Projekt okładki i stron tytułowych

*Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Cover photo © Monkeybusinessimages/Dreamstime.com

- *Gdzie moje rajstopy?*
- *Nie wiem.*
- *Uciekły? Wyparowały? Zostały skradzione przez tajemniczego złoczyńcę w czarnej masce? Jak myślisz?*
- *Nie wiem.*

*Ale wiedziałam doskonale. Rajstopy wzięłam z półki dziś rano, miałam zamiar zadać szyku, kraciasta spódnica, golf i te grube, białe rajstopy wyglądające, jakby je zrobiono szydełkiem, strasznie fikuśne. Trzeba akurat pecha, że w tramwaju jakaś skwaszona pani przejechała po nich czymś ostrym. Totalny klops z buraczkami. Do wyrzucenia. Nawet wyniosłam śmieci, żeby wszelki ślad po tych maminych rajstopach zaginął, zniknęły w czarnej czeluści zsypu, przepadły na zawsze. Nie ma i nie było.*

- *Wzięłaś?*
- *Nie.*

*Być może mama równie dobrze jak ja wie, że wzięłam, ale skoro już raz skłamałam, należało się trzymać tej wersji. W gruncie rzeczy, dlaczego akurat mama musi mieć takie młodzieżowe rajstopy, a nie ja? Fakt, podbieram mamie różne rzeczy: bluzki, apaszkę z ręcznie malowanego jedwabiu, lakierowane pantofle, zamszową kurtkę. Robię to wtedy, kiedy za mamą zamykają się drzwi. Chodzi do pracy na siódmą. Po powrocie ze szkoły odkładam pożyczone rzeczy na maminą półkę, wszystko gra.*

– Dlaczego kłamiesz?  
– Nie kłamię.  
– Miej trochę odwagi cywilnej. Przyznaj się.  
– Mówię, że nie wzięłam.  
– To był prezent dla cioci Haliny.  
– Tak? – zdziwiłam się uprzejmie.  
– Tak. Jeżeli je nosisz, to przepadło. Nie ma prezentu. Za trzy dni pensja. Urodziny dzisiaj, za dwie godziny. Możesz mi coś poradzić?

– Nie. I wcale nie noszę tych rajstop – oświadczyłam z godnością i zgodnie z prawdą. Nie mogę ich nosić, bo leżą w śmietniku, sama je tam wrzuciłam. – Czego ty ode mnie chcesz?

– Żebyś chociaż mówiła prawdę.

– Mówię prawdę.

Mama dotknęła palcami czoła, wyglądało to tak, jakby chciała zetrzeć coś niewidzialnego.

– Pomóż je znaleźć – poprosiła cicho. – Widocznie gdzieś się zapodziały.

W porządku, pomagałam z wielkim zapamiętaniem, przerzuciłam do góry nogami wszystkie półki w szafie, odsunęłam tapczan, wybebeszyłam szuflady swojego biurka.

– Nie ma.

– Nie ma – powtórzyła mama jak echo.

Poczułam się głupio, ona była naprawdę zgnębiona tym zniknięciem rajstop. Wcale nie rozgniewana, tylko zgnębiona.

– Dałabym słowo, że je widziałam dzisiaj rano – powiedziała z wahaniem, już wcale nie była taka pewna, czy je widziała, czy nie, bo ja dobrze zagrałam swoją rolę. – Dałabym słowo.

– Ale nie ma ich nigdzie.

– No, właśnie.

Trochę współczułam mamie, tylko już nie mogłam się zdradzić żadną niewczesną litością. Zresztą te rajstopy rozleciały się błyska-

wicznie, ciocia Halina nie powinna żałować, że nie dostała takiego prezentu.

– I co teraz będzie?

– Wymyślisz jakiś inny prezent – poradziłam.

– Co?

– Nie wiem, album, czekoladki...

– Nie mam pieniędzy.

– No to coś ze swoich rzeczy...

– Wykluczone. Nie daje się rzeczy spranych i znoszonych, to powinnaś już wiedzieć.

– Zadzwoń do cioci, że przyjdiesz za parę dni. Wtedy, kiedy dostaniesz pensję.

Mama nic nie odpowiedziała. Z tą ciocią Haliną jest skomplikowana historia. Ona właściwie nie jest żadną krewną mamy, ja do niej mówię „ciociu” od niepamiętnych czasów i tak się utarło, że to ciocia. Kiedy mama była w zeszłym roku w szpitalu, mieszkalam u cioci Haliny; tak w ogóle jest zawsze: jak się coś stanie – pojawia się ciocia Halina i działa. Wzywa pogotowie, gotuje kleiki, załatwia rozmaite sprawy po urzędach, sprowadza szklarza do wybitej szyby, pożycza pieniądze, z dwóch starych swetrów robi jeden zupełnie nowy, znajduje zgubione klucze, potrafi wymienić przepalone korki, zjawia się u mnie w szkole, jeżeli sytuacja tego wymaga, i roztrząsa później moje sumienie. Prawdę mówiąc, mama jest niepraktyczna i zwykle gubi się w gąszczu życiowych problemów, ciocia Halina stanowi jej jedyną obronę przed wrogim światem i jego pułapkami. I dlatego ciocia Halina jest kimś bardzo ważnym dla mojej mamy, dla niej kupiła te drogie, komisowe rajstopy, których by nie kupiła ani dla siebie, ani dla mnie.

Mama wzięła małe pudełko z szafy, otworzyła pokrywkę, wyjęła broszkę.

– Chyba że to.

Na maminej dłoni zalsniła mała broszka, czerwony kamień i złote listeczki. Ta broszka była u nas w domu od zawsze, wiedziałam,

że należała niegdyś do mojej babci, przedtem do prababci, a jeszcze dawniej do praprababci. Miała chyba ze dwieście lat albo dużo więcej, przechodziła z matki na córkę, ja ją także miałam kiedyś dostać. I to miałby być prezent dla cioci Haliny? Nie!

– Nie dasz tego! – wrzasnęłam.

– Dam.

Mamie na pewno także nie było łatwo rozstać się z tą broszką, już kilka razy miała ją zamiar sprzedać, ale nigdy do tego nie doszło. A teraz przez jakieś głupie rajstopy ta cała ciotka Halina dostanie coś, o czym przywykłam myśleć jak o swojej własności. Nie pozwolę na to. Nigdy się nie zgodzę. Ostatecznie nic się nie stanie, jeżeli ciotka poczeka na prezent kilka dni, wielkie mi rzeczy.

Zrobiłam wszystko, co należało, poryczałam się, pokłóciłam, wspomniałam o babci. Na nic. Mama się zaparła.

– Skoro rajstopy wyparowały, to nie ma innego wyjścia – powiedziała stanowczo, kiedy przestałam szlochać. – Ja ci wierzę, że ich nie ruszałaś, uspokój się. Umyj się, przebierz i idziemy. I już ani słowa na ten temat.

Gdybym wiedziała, że się podrapę, nigdy bym nie brała tych głupich rajstop. Ale i tak mama nie ma prawa oddawać cioci Halinie tego, co jest moje. To niesprawiedliwe! Sama kiedyś mówiła, że dostanę tę broszkę, jak zdam maturę. Ta broszka jest moja. Moja! Ale mama jakby ogłuchła, równie dobrze mogłabym kierować swoje pretensje do milczącej ściany albo do szafy, z której wnętrza kipiły nieporządnie wepchnięte ubrania.

– Ja nie idę – sięgnęłam po ostateczny argument.

– Pójdziesz.

– Nie pójdę.

– Pójdziesz.

– Nie!

Ze mną wcale nie jest łatwo. „Arogancka” – mówią w szkole. „Trudna” – mówi mama. „Twarda” – mówią dziewczyny i chłopaki. Właściwie zawsze stawiam na swoim, jeżeli mi na czymś



*zależy, a tym razem zależało mi bardziej niż kiedykolwiek. No i mama poszła sama na te urodziny, broszki także nie wzięła.*

*Miałam zamiar trochę się pouczyć, ale odechciało mi się po tym wszystkim, nauka nie zajac, nie ucieknie. Położyłam się, przed sobą postawiłam pudełko. Jak robi się takie malusieńkie listki ze złota? Wszystko jedno, młotkiem albo jakoś inaczej. Ten kamień nazywa się rubin.*

*Zerwałam się z tapczanu i przyłożyłam broszkę do swetra. Przypnę ją, nawet już wiem kiedy. Jeżeli Jacek umówi się wreszcie ze mną, tego dnia przypnę sobie broszkę. To będzie taki znak, że stało się coś ważnego. Niedługo skończę piętnaście lat i chyba czas, żeby mieć własnego chłopca. Jacek nic nie rozumie, ale wreszcie chyba pojmie, że chcę z nim chodzić. Po co mam czekać do matury na to świecidełko? Mogę je wziąć tego dnia, kiedy pójdę na pierwszą prawdziwą randkę.*

*Broszka ładnie wygląda na białym, kamień lśni ciemnoczerwoną poświatą, błyszczy złoto...*

– Jejmościankę tylko po śmierć posłać.

W matowej tafli lustra obwiedzonego ciężką, rzeźbioną ramą zobaczyłam stojącą za mną kobietę, szerokie oblicze ujęte w falbanki rogatego czepca.

I ten pokój jakiś przedziwny...

Ogromna szafa z ciemnego drzewa. Krzesła wysokie jak trony, kryte skórą, na ścianie jakiś niby kilim, w ogóle nie wiadomo co, drzewa, smoki i zamek z ostrokończystą wieżą. Ja... ja nigdy nie widziałam tego pokoju.

– W zwierciadelko jejmościanka się gapi, żeby jeno dytka na słomianych nogach nie zoczyła, jak się już niejednej pannie, pełnej światowej próżności, przydarzyło.

I teraz stało się to najdziwniejsze.

Odwróciłam się i dygnęłam, skądś wiedziałam nie tylko, że muszę dygnąć, ale także znałam słowa, które należało powiedzieć:

– Stokrotnie upraszam przebaczenia ciotuni dobrodziejki. Jenom z pustoty w zwierciadło zerknęła.

Jakimś czarodziejskim sposobem miałam na sobie suknię długą do ziemi, byłam ściśnięta w pasie aż do mdłości, a moje policzki drapał wykrochmalony na sztywno kołnierz. Bardzo chciałam przejrzeć się w lustrze, ciekawa, jak wyglądam w tym przebraniu, ale nie odważyłam się.

– Niech no jejmościanka Małgorzata zębów po próznicy nie suszy, jeno do sali wraca. Pani matce mrużno<sup>1</sup>, a pan Stanisław już chce precz jechać, zniknięcie jejmościanki za afront przyjmując.

Znowu, nie wiem skąd, nadeszły do mnie słowa:

– Ja się pani matce i panu Stanisławowi przystojnie wyekskużuję<sup>2</sup>, żem od nich poszła.

– Kotki u jejmościanki w głowie – niezyczliwie parsknęła imponująca dama. – Czyż to przystoi panience w takie klejnoty się stroić?

Palec kobiety oskarżycielsko wycelował ku mojej szyi, odruchowo podniosłam dłoń i poczułam pod palcami złote listeczki i wypukły brzuszek rubinu.

– Pannie przystoi opal, turkusik, perełka, klejnoty ku ozdobie panińskiego stanu stworzone, na rubiny a szmaragdy przyjdzie czas w małżeńskim stanie, kiedy Bóg pozwoli.

Najdziwniejsze, że wcale nie czułam się spłoszona słowami nieznanym, więcej, przyjmowałam je jako coś zupełnie zwyczajnego i normalnego. Miałam tylko poczucie nieprawdopodobnej zgrywności tej sytuacji, meblasy przytłaczające i olbrzymie, te stroje jak w teatrze i ten pokój niski, ale rozległy. W jego jednym kącie zmieściłaby się cała mamina kawalerka wraz z niszą kuchenną i łazieneczką.

Szumiąc suknią i nieco przydeptując obrąbek (głupio jest chodzić w czymś aż tak długim i szerokim), przemknęłam się obok nieznanym i pospieszyłam ku drzwiom. Jeżeli to jest nasze mieszkanie – drzwi prowadzą na klatkę schodową.

To nie było nasze mieszkanie. Za drzwiami był pokój równie ogromny jak ten, z którego uciekłam, zastawiony długim, straszliwie długim dębowym stołem, owymi ciężkimi krzesłami przy-

---

<sup>1</sup> Mrużno (komuś) – ktoś jest zły, zagniewany.

<sup>2</sup> Ekskużować – usprawiedliwić, tłumaczyć.

pominającymi trony i obwieszony długim, straszliwie długim szeregiem kapiących od złota ram. Jak się było lepiej przyjrzeć, to w ramach tych tkwiły portrety kobiet w takich samych czepcach, jak nosiła nieznajoma, lub wąsate oblicze, krwiste – niczym źle wysmażony befszytk – z wytrzeszczonymi oczami i podgolonym ciemieniem.

Coś nakazało mi spuścić oczy, ze wzrokiem wbitym w deski podłogi popłynęłam, szumiąc sukniami, wzdłuż stołu aż do miejsca, gdzie siedziała (Co ja mówię! Nie: „siedziała”, tylko: „zasia-dała”, „prezydiowała”; jakoś w tym stylu) druga dama w czepcu i wąsaty – jak na portretach ze ścian – mocno podstarzały jegomość, łysiejący, pomarszczony, z nienaturalnie przekrzywioną głową.

– Jako wizerunkiem bogini z wysokich Helikonów zstępującej widokiem waćpanny ucieszony jestem... – zaczął ten stary.

Był także wystrojony w coś dziwnego, lamowanego futrem i kolorowego, nie mogłam oderwać wzroku od jego guzików. Nie znam się zupełnie na tym, ale one były albo z czeskiej biżuterii, albo z prawdziwych klejnotów, i pas też był zupełnie nadzwyczajny, szeroki na dwie dłonie, lśniący, bardzo piękny, tkany we wzór z kwiatów i liści. Coś tam jeszcze mówił o syrenie, o najadzie (co to takiego?), o jakimś korowodzie, którego bym mogła być prawdziwą ozdobą. Miałam im ochotę powiedzieć, żeby się przestali wygłupiać, bo to nie ma sensu, i... milczałam. Milczałam i wpatrywałam się w misterny wzór posadzki ułożony na przemian z ciemnych i jasnych deszczulek.

– Waćpan ze wszystkim Małgosię skonfundowałeś<sup>3</sup> – odezwała się ta druga dama w czepcu. – Młode to jeszcze i politycznego zachowania niezwykajne.

Już miałam na końcu języka, że z wychowania obywatelskiego mam czwórkę, a co do polityki to Marek, Iwona i Krzysiek są może lepsi niż ja, ale ja także orientuję się zupełnie dobrze

---

<sup>3</sup> Konfundować – zawstydząć.

w zagadnieniach omawianych przez gazety, radio i telewizję – i znowu coś kazało mi milczeć.

– Ręki mi, waćpanna, nie podasz? – zapytał ten stary. – Wybieżałaś z komnaty niby sarna spłoszona, aleć dorozumiewam, że deklarację<sup>4</sup> przyjmujesz, jako i pani matka, tuszę, przychylnym sercem przyjęła.

Nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi, to przypominało przemowy pana Zagłoby z „Przygód pana Michała” w „Teleranku”. Jakaś sztuka czy serial, może film, do którego zostałam włączona w dziwny sposób. Chyba że to jest sen, wtedy się obudzę na własnym tapczanie i trochę się zdziwię, że śnią mi się takie głupstwa. Co ja mam mu odpowiedzieć?

– W imieniu Małgosi za uczyniony zaszczyt dziękuję – wybawiła mnie z kłopotu kobieta w czepcu. – Wszelako sam waćpan pojmuję, że muszę z krewniakami rzecz consultare<sup>5</sup>, bowiem jako sam waćpan wiesz, usus<sup>6</sup> to ekstraordynaryjny<sup>7</sup> najmłodsza przed starszymi z domu wydawać.

– Sercu nakazać trudno, by pod uwagę ordynek<sup>8</sup> brało, a nie afekt ku personie sercem wybranej. Mnie jejmościanka Małgorzata dniem i nocą w myślach stoi.

– Młodszej czekać wypada, skoro starsze jeszcze niewyswatane.

– Tedy rekuzy mam się spodziewać?

– Tegom nie rzekła. Jeno o czas do namysłu najpokorniej upraszam.

Nic nie rozumiałam z tego gadania. Oderwałam wzrok od podłogi i wgapiłam się z kolei w sufit. Na suficie ktoś namalował

---

<sup>4</sup> Deklaracja – oświadczyzny.

<sup>5</sup> Consultare (łac.) – naradzać się.

<sup>6</sup> Usus (łac.) – praktyka, zwyczaj.

<sup>7</sup> Ekstraordynaryjny – nadzwyczajny.

<sup>8</sup> Ordynek – rząd, szereg.

muszlę, na muszli bardzo tęgą panią bez ubrania, a wokoło tej pani takie małe aniołki. Zachichotałam.

– Sam widzisz, waść, że u Małgosi pstro w głowie. Przystojniej by było o Klaruni pomyśleć albo afekta ku Dorocie skierować.

– Ja urodzie i modestii<sup>9</sup> jejmościanek Klary i Doroty w niczym nie przyganię, alem afekta ku pannie Małgorzacie przykłonil i inaczej być nie może.

W tej chwili zdałam sobie sprawę, że coś mnie nieznośnie pije nad kolanami, że przy każdym ruchu coś trzeszczy w fałdach mojej sukni i że swędzi mnie głowa. Podrapię się, trudno. To oni chcą, żebym była w tej sztuce czy w filmie, ja wcale nie mam ochoty. O czym oni właściwie gadają? Są celne deklaracje, które się wypełnia przy wyjeździe zagranicznym, z mojej klasy Agnieszka jeździła z rodzicami do NRD i wypełniała taką deklarację. A w ogóle co mnie to wszystko obchodzi?

Podrapałam się możliwie dyskretnie. Na stole przed kobietą w czepcu i tym staruszkim stały fikuśne czareczki i dzbanuszki. Aha, już wiem. To się nazywa rekwizyt.

Każdy teatr ma swoje rekwizyty. Kiedyś w telewizji szukali jakiegoś kompletu mebli w stylu... Nie pamiętam, w jakim stylu, ale chcieli kupić.

Tamci dwoje coś naszeptywali półgłosem, stałam jak kołek, bojąc się ruszyć. To głupio być na scenie, kiedy się nie zna roli. Żebym chociaż wiedziała, co mam powiedzieć i zrobić. Nie ma widowni, żadnego reżysera ani kamer. Może są za tamtymi drzwiami, szkoda, że nigdy się nie zainteresowałam, jak właściwie kręci się filmy. Za tamtymi drzwiami... Zaraz zobaczę, co jest za tamtymi drzwiami.

Kiedy ten staruszek wstał, znowu wiedziałam, co powinnam zrobić. Palce same chwyciły fałdy sutych spódnic, przysiadłam w głębokim ukłonie niby jakaś markiza Angelika. Zabawne, nigdy

---

<sup>9</sup> Modestia (łac.) – skromność.

tego nie ćwiczyłam, a wyszło mi tak, jakbym od dziecka niczego innego nie robiła. Widziałam, że kobieta skinęła z zadowoleniem głową, widocznie dobrze zagrałam swoją rolę.

– Tak więc waćpana przed świętym Marcinem oczekujemy – wygłosiła swoją kwestię dama w czepcu, podeszła do tych drzwi, za którymi powinien być reżyser, kamery i w ogóle, skinęła na mnie. – Gdyby zaś sprawy niepomyślnym potoczyły się biegiem, będziesz, waćpan, moim pismem uwiadomiony.

– Tuszę, iż waćpani, mając wzgląd na rewerencję<sup>10</sup>, jaką dla niej samej i całej familii żywię, rychło surowy namysł w łagodną odmienisz wyrozumiałość.

Otworzyły się drzwi. Zdębiałam, ogromna sień cała obwieszona rogami (jelenie? łosie?), łbami dzików, bronią, na ławie pod ścianą drzemał chłopak, niewiele starszy niż ja, ubrany w jakąś dziwną okryjbidę. Na nasz widok zerwał się i uklonił tak nisko, że mało brakowało, a dziugnąłby nosem w deski podłogi. Zaraz, zaraz... Są tu jeszcze jedne drzwi. Może za nimi?...

Nie potrafię powiedzieć, skąd na staruszkę znalazło się nagle futro (przypominał pękata kopę siana), i tamte drzwi otworzyły się na oścież.

Zupełnie zgłupiałam. Za drzwiami padał deszcz ze śniegiem, czarne drzewa powiewały mokrymi, bezlistnymi gałęziami. To wszystko było prawdziwe, najprawdziwsze, żadna dekoracja, zwyczajne drzewa, zwyczajny deszcz, błoto ćmokające i gęste, w które koła wrzynały się aż po piasty. Te koła należały do prawdziwej karety, takiej z szybkami i opuszczanym stopniem, i ta kareta stała w błocie i deszczu przed moimi zgłupiałymi oczami. W cztery konie. Naprawdę w cztery konie, ani jednego mniej. Jak w bajce albo w historycznym filmie.

Tego już było za dużo. Z gardła wydobył mi się ni to pisk, ni to szloch, zakręciłam się dookoła i bez namysłu runęłam w jeszcze

---

<sup>10</sup> Rewerencja – szacunek, poważanie.